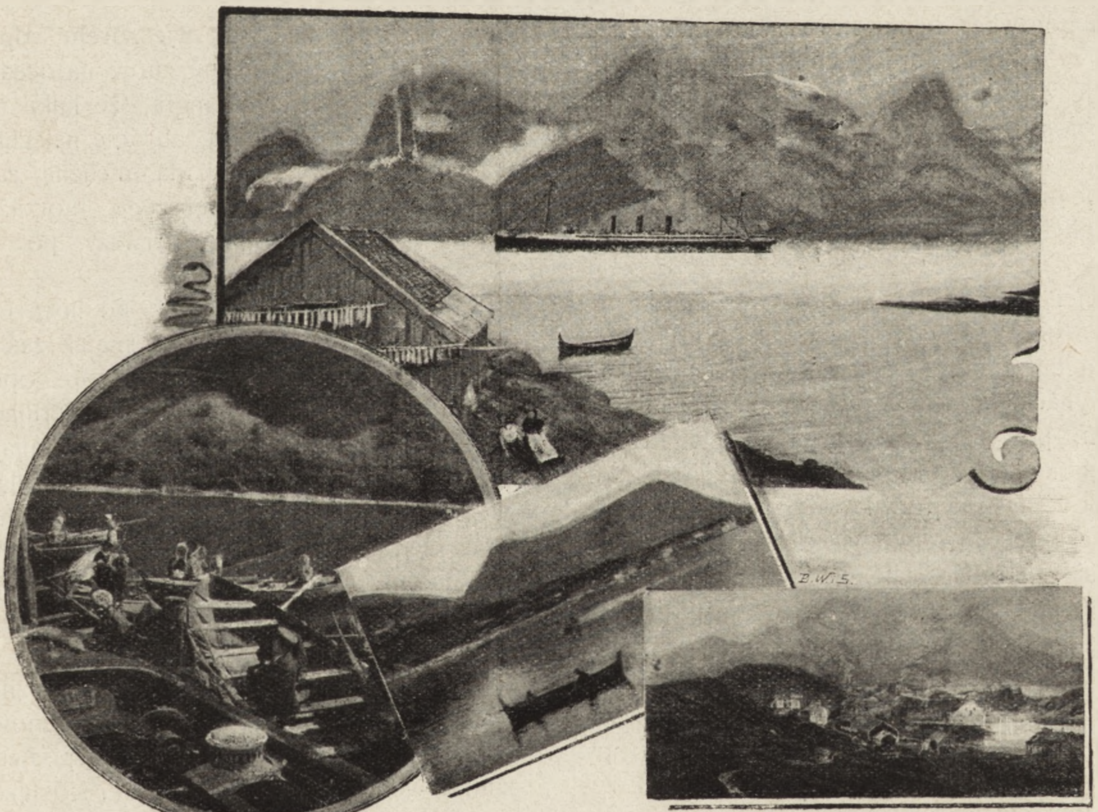




PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

POŚWIĘCONE OPISOM ZIEM, LUDÓW, PODRÓŻY, ZJAWISK PRZYRODY I WYNALAZKÓW.

Nr. 20. Warszawa, d. 27 Kwietnia (10 Maja) 1902 r. Rok I

Augusta Wiktorja w Westfjordzie.
Łódki norweskie. Westfjord pod Digermulen. Osada Digermulen.

# WSPOMNIENIA Z WYCIECZKI
## na Szpicberg i pobrzeża Norwegji
**Doktora Fr. Neugebauera.**

*(Ciąg dalszy).*

Klimat Westfjordu jest tak łagodny, iż nawet zimową porą kozy i owce wyprowadzają na paszę. Na górach już widać zieleń, trawy, mech, krzaki i małe drzewka. W dolinach wszędzie panuje wielka wilgoć z powodu licznych ścieków wody z wyżyn, śniegiem pokrytych. Napotkaliśmy, wysiadając na ląd w jednej zatoce, obfite bagna i torfowiska, mchem pokryte o roślinności nadzwyczaj bujnej.

Od stycznia do połowy kwietnia na West-

fjordzie odbywa się połów ryb, na który zjeżdża tutaj z samej Norwegji do 30 tysięcy rybaków. Wyjeżdżają oni o 8 wiorst od lądu i tam zarzucają sieci na głębokość 50, 80 i 200 metrów. Jedna z większych ryb atlantyckich na tej tylko głębokości, zjawia się na składanie ikry: Skrei-Torsk (gadus morrhua). Do łowienia tej ryby używają i sieci i wędki.

Połów wynosi od 20 do 40 miljonów sztuk ryb. Na jedną łódź rybacką liczą do 6000 dorszów. Na lądzie obcinają głowę ryby, ryba idzie na sprzedaż, a głowy suszą, później rozcierają na proszek i sprzedają jako guano rybie za nawóz. Ryby wypatroszone związują po dwie ogonem i zawieszają dla suszenia na rusztowaniach drewnianych, z patyków ustawionych, na których się ryby suszą do 14 czerwca, potem wysyłane są na sprzedaż. Ponieważ rybak norweski sprzedaje tylko za gotówkę, banki norweskie przez czas połowu ryb w Westfjordzie zmuszone są wysyłać olbrzymie zapasy gotówki: pieniądze te wysyłane są na Lofody. Pomimo zjazdu tak wielkiej ilości rybaków, ich wzajemnej konkurencji i t. d. panują tu jednak zawsze spokój i zgoda, ponieważ niema nigdzie wódki lub napojów wyskokowych.

Łańcuch wysp Lofodzkich zaczyna się na południe od wyspy Moskenaes, około której przebiega tak zabójczy nieraz podczas burzy dla łódek rybackich, a nawet większych statków, Malstrom; powyżej leży wyspa Flakstade z zatoką głęboką, do której czasami dostają się wieloryby podczas przypływu wody. Ponieważ z powodu szczupłej ilości wody wieloryb tu nawet obrócić się nie może, staje się on łatwą zdobyczą dla sąsiadujących z zatoką rybaków. Jest to rodzaj naturalnej pułapki na wieloryby. Z wysp, powyżej leżących, które po części już wymieniłem, wyspa Svolvaer odznacza się najwięcej uczęszczanym portem pocztowym na Lofodach. Wyspy te po większej części są zamieszkane przez rybaków, tu i owdzie widać i kościół z cmentarzyskiem. Najdalej na północ wysuniętą jest wyspa Andoe, poniżej leży wyspa Hindoe, na której w Digermulen wyszliśmy na ląd.

Digermulen z powodu umiarkowanego klimatu i czystego powietrza kwalifikuje się bardzo na stację klimatyczną, tem bardziej, że przy dłuższym pobycie na miejscu można połączyć przyjemność pobytu nad morzem z zaletami spacerów górskich.

Stacja ta klimatyczna szczególnie zasługuje na uwagę chorych na nerwy i płuca; ceny pobytu dłuższego są takie, że ani porównania nie ma z cenami np. na Riwierze, Szwajcarji, Tyrolu i t. d.

Po powrocie na pokład, przyglądaliśmy się łódkom mieszkańców Digermulen, którzy otaczali nasz statek przez kilka godzin po części dla ciekawości, po części w nadziei jakiejkolwiek zdobyczy, wyławiając z wody skrzynki, blaszanki od konserw, butelki próżne etc., wyrzucone ze statku. Na niektórych łódkach sprzedawano różne rośliny morskie, algi olbrzymie, kraby, raki morskie suszone i t d. Niezliczoną była ilość mew, stale otaczających statek, którego obecność była dla nich ucztą — ileż to rzadkich przysmaków przytrafiało się im na falach zatoki. Na statku wszystkie resztki kuchenne wędrują prosto do wody, dlatego też za każdym statkiem osobowym płynie mnóstwo ryb i krążą stada ptactwa morskiego.

O godzinie 9-ej wieczorem opuściliśmy Westfjord i wypłynęliśmy znów na ocean. W nocy panowała tak silna mgła, że kilka razy mierzono głębokość morza, aby nie najechać na jakąś skałę podwodną lub na mieliznę, zanim statek nie dotarł do głębszego morza. Nawet lekki deszczyk kropił, pierwszy po Tromsoe w ciągu całej podróży.

Przez cały czwartek 19-go lipca i noc następną byliśmy w drodze; w piątek zaś 20 lipca rano przybyliśmy do Molde, które opuściliśmy tegoż dnia o 6-ej popołudniu, kierując się do Maraak. W nocy statek wjechał, mijając miasteczko Alesund do Storfjordu, dzielącego się w głębi na kilka zatok: Slyngsfjord, Sunelosfjord oraz Geirangerfjord. Augusta Wiktorja wjechała do Geirangerfjordu. Im dalej statek się posuwał, tem romantyczniejszym i majestatyczniejszym stawał się krajobraz.

Po obu stronach staczają się liczne wodospady, spadając miejscami prawie pionowo z wysokości kilkuset metrów. Statek podjechał bliziutko wodospadu Syv-Soestre (7 sióstr); pobrzeża stają się coraz to wyższe, tak że miejscami zaledwie widać kawałek nieba nad nami. Strome szczyty skaliste dochodzą do 1,500 metrów wysokości. Niektórym skałom dla osobliwego kształtu nadano odpowiednie nazwy np. ambony.

Zatoka kończy się u stóp wspaniałego wodospadu przy osadzie Maraak na morenie, otaczającej brzegi fjordu. Nad Maraak otwiera się kotlina górska Geiranger, przez którą wygodna szosa w wężowych skrętach prowadzi, mijając cały szereg znacznych wodospadów, do miejscowości Grotlid. Godzinę drogi od Maraak na wzgórzu przedstawia się cudowny widok na fjord

z tarasu hotelu Udsigten (Bellevue) (300 metrów nad poziomem morza). Osada Maraak składa się zaledwie z kilku domów i hoteli, lecz wartą jest zwiedzenia wskutek malowniczego położenia swego — zaliczam Maraak do najpiękniejszych górskie o różnych wodospadach, skalistych ścianach górskich (do 1500 metrów wysokości).

Po kilkugodzinnym postoju w Maraak, statek zawrócił i tą samą drogą powrócił na otwarte morze, wyjeżdżając ze Storfjordu ku północy



Wycieczka na Raftsund.
Maraak.

Osada Dyrdal.
Wycieczka do wodospadów.
Wodospad w Maraak.

Hotelik w Gudvangen.
Augusta Wiktorja przed osadą Dyrdal.

miejscowości z widzianych w czasie naszej podróży. Powyżej kotliny górskiej Geiranger sterczy lodowiec, opuszczający się z wysokości 1700 metrów z góry Blaahorn ku dolinie. Po drodze do morza przejeżdżaliśmy przez liczne wąwozy do Joerundfjordu, którego brzegi są już zupełnie inne. Zamiast wysokich, skalistych, prawie pionowych, ścian górskich, widać góry o spadku więcej umiarkowanym, całe pasma gór o szerokich polach śnieżnych i błyszczących w słońcu,

tu i owdzie lodowcach. Przy samym końcu zjawia się znów ponury skalisty charakter fjordu. Przy osadzie Viddal statek wyjeżdża z fjordu i, przepływając pomiędzy wyspami a lądem, wychodzi na ocean. Wieczorem zawinęliśmy do Sognefjordu (Sogne oznacza wielki przesmyk morski), najdłuższego z całej Norwegji, bo aż 180 kilometrów długości liczącego, przeciętnie 6 kilometrów szerokiego i bardzo głębokiego; w głębi fjordu, rozdzielającego się na kilka ramion, występuje znów malownicza dekoracja, brzegi skaliste do 1500 m. wysokości, o licznych wodospadach etc.

Na pobrzeżach Sognefjordu leżała siedziba najdawniejszej kultury norweskiej. Statek, często zmieniając kierunek, około Kvamsoe, Vangsnaes, naprzeciwko na drugim brzegu leżącej miejscowości kuracyjnej Bałestrand, zawinął do Fjaerlandsfjordu, nareszcie do Aurlandsfjordu i Naerofjordu. Zaraz po wjeździe ujrzeliśmy wspaniały wodospad Laegdeelvs (300 m.), a na przeciwległym brzegu fjordu spiczasty wierzchołek górski: Krogegg, nieco dalej górę Gjeltegg. Fjord szeroki z początku 800—900 metrów, zwęża się coraz więcej, aż na szerokości 200 metrów wrzyna się pomiędzy prostopadłe szaro-czarniawe skaliste ściany, u szczytów śniegiem pokryte. Widać lodowiec ogromny Store-Brae, kilka wodospadów wysokich z wodą, rozpylającą się nad strumykiem w rodzaju mgły. Około 7-ej rano statek stanął przed małą osadą Dyrdal. Tu podjechał statek norweski, dla nas zamówiony, Komandoren, aby podwieść nas do samego końca fjordu do Gudvangen, skąd mieliśmy odbyć dłuższą wycieczkę na lądzie.

Pierwsza partja pasażerów wyjechała na ląd o godzinie 8-ej rano, udając się końmi aż do miejscowości górskiej Stalheim, aby wieczorem powrócić na statek i statkiem wyruszyć dalej do Bergen, — druga zaś partja, do której my należeliśmy, wyjechała do Gudvangen na statku Komandoren o godz. 2-ej popołudniu.

(*Dok. nast.*)

# Gwiazdy spadające.

*Aerolity i deszcze gwiaździste.—Pył kosmiczny.*

(*Ciąg dalszy*).

Z pomiarów powyższych wnioskujemy zatem, że widzialna część drogi meteorów leży w pobliżu ziemi, a mianowicie na takiej od niej odległości, na której możemy już przypuszczać istnienie pewnej atmosfery, jakkolwiek w stanie najsubtelniejszego rozproszenia.

O szybkości ruchu tych drobnych ciałek niebieskich możemy również stworzyć sobie niejakie wyobrażenie. Szybkość ta w chwilach przejścia przez najwyższe warstwy powietrza nie może znacznie się różnić od tej, jaką posiadały one w przestrzeniach międzyplanetarnych. Wiemy, że środek ziemi posiada średnią szybkość 30400 metrów na sekundę. Otóż przypuśćmy na razie, że początkowa szybkość ruchu meteorów równa się szybkości ruchu ziemi, to jest szybkości planetarnej. Łatwo zrozumieć, że, jeżeli meteor, obdarzony taką szybkością, mknie w samej płaszczyźnie ekliptyki i w kierunku przeciwległym ruchowi ziemi (na jej spotkanie), to szybkość stosunkowa, czyli szybkość zbliżania się obu ciał ku sobie, musi równać się sumie ich szybkości bezwzględnych, czyli też wynosi 60800 metrów na sekundę. Jeżeli jednak meteor przy powyższych warunkach posiada ruch postępowy w kierunku ruchu ziemi, to szybkość stosunkowa obu ciał równa się wówczas różnicy szybkości ich bezwzględnych, czyli 30400—30400 = 0. A zatem odległość pomiędzy ziemią i meteorem pozostanie zawsze niezmienną i nie spotkają się one nigdy. Jeżeli wreszcie płaszczyzna orbity meteoru stanowi kąt prosty względem płaszczyzny ekliptyki, to szybkość zbliżania się obu ciał będzie się równać, rzecz oczywista, szybkości ruchu ziemi, czyli 30400 metrów na sekundę. Stąd więc wnioskujemy, że, jeżeli orbita meteoru tworzy z płaszczyzną ekliptyki pewien kąt, różny od $90^0$, a przytem ziemia i meteor poruszają się w tym samym kierunku, wówczas stosunkowa ich szybkość znajdzie się pomiędzy 0 i 30400 metrów na sekundę i nakoniec,—jeżeli przy powyższych warunkach nachylenia obu płaszczyzn, meteor posiada ruch wsteczny, to szybkość zbliżania się jego ku ziemi wynosi od 30400 do 60800 kilometrów.

W wykładzie powyższym przypuściliśmy, że meteory posiadają bezwzględną szybkość ruchu, równą szybkości ruchu ziemi i przekonaliśmy się, że przy takich warunkach meteory, posiadające ruch prosty i odbywające swe drogi w płaszczyźnie ekliptyki, nie dosięgałyby nigdy ziemi, a zatem w godzinach wieczornych, a szczególnie zaraz po zachodzie słońca, gwiazd spadających nie widzielibyśmy wcale.

Wiemy jednak, że tak nie jest, częstokroć bowiem zdarza się dostrzegać meteory nawet

w chwili zorzy wieczornej. Otóż, ta okoliczność, a także inne względy, nad któremi tu zastanawiać się nie możemy, każą przypuszczać, że bezwzględna szybkość meteorów jest szybkością *paraboliczną* i wynosi 43100 metrów na sekundę. Przy takich zaś warunkach szybkość ich stosunkowa zależnie od kierunku ruchu wahać się może pomiędzy 12700 i 73500 metrów na sekundę.

Dotychczas mieliśmy niemal wyłącznie na względzie te tylko gwiazdy spadające i meteory, które należą do kategorji sporadycznych, a więc rozsianych niemal równomiernie w całej przestrzeni międzyplanetarnej. W ostatnich jednak czasach przekonano się (i odkrycie to wiele się przyczyniło do zrozumienia natury zjawiska), że ziemia spotyka w swej drodze pewne ich grupy *ściśle perjodycznie*, co lat kilka lub kilkanaście, albo też nawet i co roku. Skutkiem tego w pewnych określonych odstępach czasu widujemy całe nawałnice meteorów, podobne do tej, jaką opisaliśmy wyżej, opowiadając o ciekawych losach komety Biela. Istnienie ścisłego związku pomiędzy temi rojowiskami i kometami zdaje się dziś nie ulegać już najmniejszej wątpliwości.

Nawałnicę taką obserwował, po raz pierwszy zbadał naukowo Humboldt dnia *12 listopada* 1799 r., jakkolwiek prawdopodobnie musiały się one zdarzać i wcześniej, o czem wymownie świądczą kroniki średniowieczne, w których niejednokrotnie znajdujemy obszerne wzmianki o tak zwanych *deszczach ognistych*. W wieku XIX-ym zupełnie analogiczne zjawisko badali Olmsted i Palmer również dnia *12 listopada* roku 1833 i wówczas znany astronom Olbers, uważając rojowisko to za perjodyczne, przepowiedział jego powtórzenie się na rok 1867. Przepowiednia ta sprawdziła się najzupełniej, jakkolwiek nieco wcześniej, aniżeli przewidywał Olbers, a mianowicie nawałnicę meteorów ujrzano dnia *13 listopada* 1866 roku. W ten sposób perjodyczność rojowisk gwiazd spadających została poraz pierwszy stwierdzona ściśle naukowo.

Oprócz powyższego, oddawna już znany jest inny jeszcze rój gwiazd spadających — rój sierpniowy. Cechy charakterystyczne tego rojowiska różnią się jednak znacznie od rojowiska listopadowego i różnica ta dotyczy przedewszystkiem długości perjodu. Dnia 12 lub 13 listopada widujemy szczególnie obfite deszcze gwiaździste raz jeden na lat 33, deszcz zaś sierpniowy bywa równie obfitym co roku. Zjawisko to dowodzi, jak to już powiedzieliśmy wyżej, że rój sierpniowy zdołał już rozproszyć się wzdłuż całej linji swej orbity, tworząc zamknięty pierścień i dlatego ziemia natyka się nań co roku; rój zaś listopadowy, jako znacznie młodszy wiekiem, ogarnia tylko pewną część orbity (około 0.3) i skutkiem tego perjod jego jest obecnie nierównie dłuższym. Z czasem jednakże i on może również utworzyć linję zamkniętą, a wtedy ziemia spotykać go będzie co rok.

(*d. c. n.*)

*Paweł Trzciński.*

OSTATNIA KARTA

# ŻYWOTA BENIOWSKIEGO

## (Madagaskar przed 120-tu laty),

napisał

*Ignacy Radliński.*

Dla określenia Beniowskiego wahamy się pomiędzy dwoma wyrazami: bohater i awanturnik. Może to i słuszne. W każdym jednakże razie ma on niektóre cechy wspólne z bohaterami. Każda jego akcja, jak i uznanego bohatera, przedstawiała pewną, w sobie zakończoną całość uplanowaną, a cel jej przekraczał osobiste jego potrzeby i interesa i zlewał się z potrzebami i interesami ogółu, wśród którego się odbywała. Każda, jak i bohatera uznanego, to nie wyzyskanie wpływów i stanowiska danej osobistości, lecz — stanu rzeczy ogólnego w kraju, gdzie się odbywała; oparta na nim, uwarunkowaną zawsze była wynikającemi z niego okolicznościami wszelakiemi. A ponieważ wszelki stan rzeczy jest rezultatem przeszłości, przeto każda akcja Beniowskiego, jak i różnych bohaterów, będąc związana z przeszłością kraju, nabierała dziejowego znaczenia, i bez dokładnej a głębokiej znajomości tych dziejów nie może być zrozumianą i roztrząsaną. Jak dla akcji bohaterów tak i dla akcji Beniowskiego ram dostarczają dzieje właściwe; całe społeczeństwo, które ona ogarniała, służy za tło dla niej.

Te cechy ogólne działalności Beniowskiego coraz się silniej z biegiem jego życia zarysowują. Najpotężniej zaś — w ostatniej tego życia karcie.

Wskutek szczególniejszego zbiegu okoliczności ta ostatnia karta życia Beniowskiego jest zarazem jedną z ważniejszych w dziejach Mada-

gaskaru w ogóle, a najciekawszą w dziejach jego w XVIII stuleciu *).

Madagaskar od lat kilku nie przestaje zwracać na siebie uwagi w każdym narodzie wykształconego ogółu. To przekształcenie niezupełnie jeszcze dotychczas zbadanego i znanego, a nawet całkowicie jeszcze nie podbitego i poniekąd niezależnego kraju w kolonję, czy też departament francuski, jest jedną sceną w tragedji dziejowej ustępowania innych ras przed białą; jest jednym momentem w procesie ginienia i znikania z powierzchni kuli ziemskiej ludów, które się dały wyprzedzić arjom w rozwoju kulturowym.

To wszystko może usprawiedliwić to moje obecne wystąpienie, ten zamiar przypomnienia Beniowskiego, tę śmiałość skierowania myśli na odległy, nie mogący nas niczem na pozór zainteresować Madagaskar. Wiele się, niestety! okoliczności złożyło i wciąż składa, że coraz bardziej zapominamy wyrzeczenie rzymskiego mędrca:

Homo sum, humani nihil a me alienum esse puto.

Wszakże to wyrzeczenie stanowi erę w rozwoju pojęć ludzi o sobie; oznacza bowiem chwile uświadomienia jednostki o swym stosunku do ogółu.

Jakkolwiek dzieje odkryć gieograficznych są tylko dziejami zdobywania kuli ziemskiej przez rasę białą, nie każde jednakże odkrycie pociągało za sobą odpowiedni ruch emigracyjny. W wieku XVI i XVII przez Francuzów została odkrytą i zbadaną, a więc wskutek tego do Francji nominalnie przyłączoną, cała prawie wschodnia część Ameryki północnej od Kanady do ujść Mississipi. Tymczasem obecnie ślady władania Francji w Ameryce Północnej pozostały tylko w ludności francuskiej w Kanadzie oraz w niektórych nazwach gieograficznych, w bardziej ku południowi posuniętych krajach i miastach, np. Luizjana, Nowy Orlean i t. d.

Przyczyny tego zjawiska dziejowego szukać należy w tej okoliczności, że odkrycia gieograficzne, dokonywane przez Francuzów w Ameryce Północnej, nie wzbudziły we Francji odpowiedniego ruchu emigracyjnego. Stąd wypływa charakter subjektywny wszystkich odkryć gieograficznych.

Do szukania nowego pola gieograficznego dla swej działalności, nowych siedlisk zewnątrz krajów ojczystych do zamieszkania, zarówno jednostki jak i massy ludowe pobudza już to pewien nastrój umysłowy, panujący w danej chwili historycznej, już to brak środków do wyżywienia, pociągający za sobą nędzę materjalną. Przyczyny przeto subjektywności odkryć gieograficznych bywają dwojakie: jedne natury psychicznej, drugie natury ekonomicznej. Gdy dane odkrycie gieograficzne, będące, jak się to często zdarzało, dziełem jedynie wypadku, przypada właśnie na taką chwilę subjektywnej podniety, wywołuje ono wówczas właśnie ruch emigracyjny. Dopiero ruch emigracyjny luźne odkrycie gieograficzne przetwarza we wcielenie odkrytych krajów do obszarów, zajętych przez białych, co wprowadza nowe lądy i wyspy do Gieografji Powszechnej.

Czego przeto nie dokonała Francja w Ameryce Północnej, dokonała za nią Anglja, w której właśnie odkrycia gieograficzne w Ameryce zetknęły się z podnietą subjektywną do emigracji.

Jednakże ruch emigracyjny, będąc sam wynikiem różnych przyczyn dwojakich, jak i same te przyczyny może być dwojaki w swej istocie: jednostkowy, kiedy tylko nieliczne jednostki przedsiębiorą emigrację, i ogólny. skoro w nim wezmą udział masy ludowe. Właściwości wszelkich zbiorowisk, wszelkich akcji tłumnych, nadają ruchowi emigracyjnemu ogólnemu charakter żywiołowy. W miarę więc zwiększania się ilości dotkniętych dążnościami emigracyjnemi jednostek, niezależnie od przyczyn wywołujących owe dążności, ruch emigracyjny jednostkowy przetwarza się w ruch emigracyjny żywiołowy. Istota przeto każdego ruchu emigracyjnego zależy od jego rozmiarów, nie zaś od przyczyn, które ów ruch powodują.

Francja dotychczas nie była jeszcze dotknięta ruchem emigracyjnym żywiołowym, jak Anglja, Hiszpanja, Portugalja. Doświadczany przez

*) Maurycy Beniowski, bohater poematu Słowackiego, urodził się w r. 1741 w komitacie Nitra w Węgrzech. W 16-ym roku życia walczył w szeregach armji austrjackiej przeciw Prusakom; w r. 1758 przybył do Polski, gdzie po śmierci stryja objął znaczny majątek. W r. 1767 jest już pułkownikiem kawalerji. W dwa lata potem, ranny, znalazł się w Kazaniu, a następnie na Kamczatce. Dzięki śmiałości i przedsiębiorczości, Beniowski wydostaje się stamtąd, puszcza się na morze i przybija do Francji, skąd z polecenia rządu francuskiego udaje się na Madagaskar. Pobyt Beniowskiego na Madagaskarze jest właśnie przedmiotem niniejszego artykułu. O innych podróżach jego znajdzie czytelnik obszerniejsze szczegóły w artykułach: „Pamiątki historyczne na Kamczatce“ (Tyg. Ilustr., 1886 r.); „Awanturnik z XVIII w.“ (Wędrowiec, 1886 r.); „Odkrycia gieograficzne Beniowskiego“ (Wszechświat, 1895 r.). Pierwszy i trzeci weszły do zbiorowego wydania p. t. „Przeszłość w teraźniejszości“, 1901. (Przyp. aut.).

nią jak i przez inne narody i państwa europejskie ruch emigracyjny nie przechodził w niej nigdy zakresu ruchu jednostkowego. Wskutek czego spostrzegamy to zjawisko, że zewnątrz Francji europejskiej są w różnych częściach świata kraje, należące do Francji, lecz niema Francji zewnątrz Europy, jak jest Anglja w Ameryce Północnej (Stanach Zjednoczonych i Kanadzie), w Australji, Nowej Zelandji i t. d., jak jest w Ameryce Południowej Hiszpanja i Portugalja, w Meksyku -- Hiszpanja. Jedną z ciekawszych kart z dziejów zdobywania kuli ziemskiej przez europejczyków przedstawiają dzieje zdobywania i kolonizacji przez Francuzów Madagaskaru. Również są one wielce charakterystyczne dla poznania Francuzów jako państwa i narodu.

(*c. d. n.*).




(*Ciąg dalszy*).

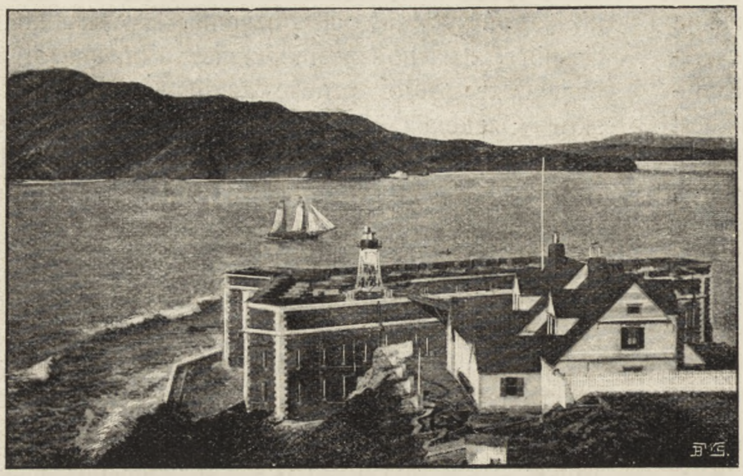
W wigilję przybycia do San Francisko pogoda nagle zmieniła się: nastało ciepło, niebo rozjaśniło się i uczuliśmy, że się zbliżamy do Kalifornji, która swą roślinnością i łagodnym klimatem rywalizuje z sławną pod tym względem Florydą. Nad ranem 8 lipca zbliżyliśmy się do zatoki San-Francisko, do wejścia z oceanu, które stanowi cieśninę Golden Gate czyli złote wrota, cieszącą się opinią jednej z najwięcej malowniczych miejscowości Ameryki. Wejście do cieśniny szczelnie zamyka od strony oceanu szeroki bar, ledwie pięć stóp głęboki, z wąskiemi tylko przejściami u brzegów, opatrzonemi w latarnie morskie; bar ten ochrania cieśninę od wielkich fal oceanu i stale utrzymuje wody cieśniny prawie zawsze w spokojnym stanie z lekko tylko zakarbowaną powierzchnią, która przy wschodzie i zachodzie słońca lub księżyca wspaniale pozłaca wody cieśniny, co nadało jej nazwę złotych wrót. Kalifornijczycy szczycą się Golden Gate nie mniej niż Japończycy swoją Fuzijamą i wizerunki tej cieśniny z zachodzącem w niej słońcem służą niejako za godło, prawie za herb, San Francisko. Ozdabiają niemi wszelkie albumy, ogłoszenia i różne drobiazgi; widokiem złotych wrót ozdobiony jest też pamiątkowy medal, o którym powiem niżej.

Zaraz po przebyciu cieśniny, Peking musiał zatrzymać się, aby wypełnić zdala od miasta bardzo ciekawe formalności pozbycia się pasażerów rasy żółtej. Stany Zjednoczone, mając już dosyć kłopotów ze strony swoich czarnych obywateli, i w porę spostrzegłszy się, że obywatele żółtej rasy będą o wiele niebezpieczniejsi, zabroniły tym ostatnim wjazdu do Stanów, a uważając taki zakaz za sprawę państwową wielkiej wagi, usiłują wszelkiemi sposobami wprowadzić go w życie, aby nie stał się martwą literą prawa. Ułożono więc bardzo surowe przepisy co do wyjazdu i powrotu Chińczyków, już osiadłych w Stanach, sprowadzenia do siebie rodzin etc.

Każdy Chińczyk, mający prawo wjazdu do Stanów Zjednoczonych, musi przedewszystkiem wylegitymować się u konsulów amerykańskich w Chinach, poczem przechodzi jeszcze ściślejszą legitymację wobec władz okrętowych, każdy okręt bowiem, który przywiezie do Stanów Chińczyka z niepewną legitymacją, nie tylko płaci karę, ale obowiązany jest darmo odwieźć taką żywą kontrabandę napowrót do Chin i oddać ją za pokwitowaniem konsulowi. Rewizja zaś takiej żywej kontrabandy jest o wiele surowsza od zwyczajnej celnej: na spotkanie każdego statku, mającego w swoich burtach żółtych pasażerów, wyjeżdża osobny statek rządowy, który po szczegółowem zrewidowaniu statku, zabiera wszystkich Chińczyków razem z ich bagażami i papierami i odwozi do specjalnej kwarantanny, z której ich się wypuszcza na miasto tylko po nadzwyczaj drobiazgowem sprawdzeniu prawa na wjazd, a w razie najmniejszej wątpliwości sadza się do ciupy. Trudno uwierzyć, że tak się dzieje w wielkiej kosmopolitycznej republice, która uważa się za najswobodniejszą i najdemokratyczniejszą, która nie zna wogóle żadnych paszportów i legitymacji i niby to nie boi się żadnych niebezpiecznych żywiołów!

Jeszcze nie dobiwszy do brzegu, mieliśmy

sposobność zauważyć drugą małą szczelinę w tendencyjnym demokratyzmie yankesów. Wiadomo nam było, że w Stanach Zjednoczonych niema żadnych orderów i oznak honorowych



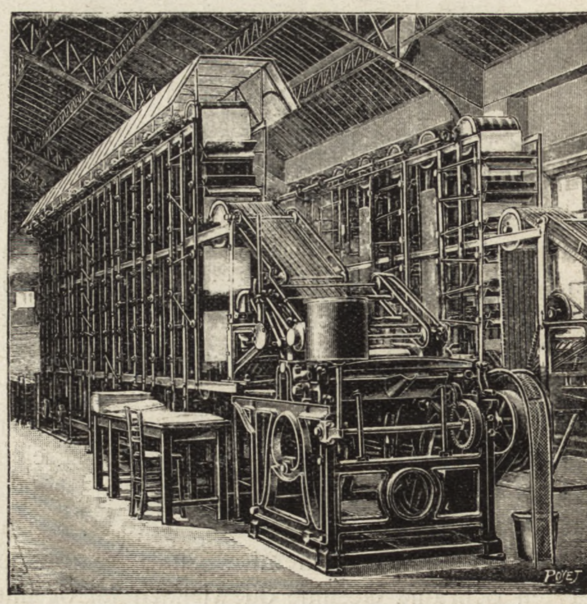
Zatoka San-Francisko.

i że niewolno ich przyjmować nawet od innych państw. Tymczasem na ambarkaderze w licznem gronie zebranych na spotkanie „Pekinga", dojrzeliśmy ze zdziwieniem bardzo wiele osób, udekorowanych jednym lub kilkoma medalami lub orderami na różnokolorowych wstęgach; niektórzy pod tym względem mogliby skutecznie rywalizować nawet z europejskimi urzędnikami policji i spraw zagranicznych. Ciekawi wyjaśnienia, zaczęliśmy rozpytywać się i wreszcie dowiedzieliśmy się, że nie mając urzędowych orderów, yankesi w duszy tęsknią za niemi i dlatego bawią się w ordery, sami je wytwarzają przy każdej sposobności, a potem z całą powagą i chlubą ozdabiają niemi swe demokratyczne piersi. Są to wprawdzie niby tylko medale pamiątkowe, ale w gruncie rzeczy są one prawdziwemi prywatnemi orderami, mającemi przeróżne formy, zastosowane do gustu, gorliwości i zasług ich posiadacza. Szczególniej rozpowszechnione są medale, bite na użytek uczestników zgromadzenia religijnego związku „*Chrześcijańskich pracowników-gorliwców*" (Society of Christian Endeavors); ozdobione są one odpowiedniemi napisami i z jednej strony monogramem stowarzyszenia „C. E.", a z drugiej widokiem Golden Gate. Muszę dodać, że medal taki nie ma znaczenia godła partyjnego w rodzaju kokardy, posiada on dużo odmian, w formie orderowych krzyżów i gwiazd, i służy nie tylko podczas zebrań zgromadzenia, ale na całe życie, tak że zasłużeni członkowie są nieraz ozdobieni kilkoma takiemi orderami, świadczącemi o liczbie zgromadzeń, w których uczestniczyli. Z drugiej strony yankesi nie zapatrują się na te swoje ordery nawet tak, jak my na nasze pamiątkowe medaliki i żetony, lecz właśnie widzą w nich niejako surogaty orderów i dlatego nadają im formę, bijącą w oczy, imponującą swoją wspaniałością; dekorują się w nie zupełnie poważnie. Nie mając możności zdobycia choćby takiej problematycznej dekoracji yankes wymyśli sobie swój włąsny order np. w formie naszych akademickich lub adwokackich znaków; słowem, prawie nie można spotkać yankesa, mającego pretensję do nazwy dżentelmena, żeby nie miał choć jednego takiego znaczka na klapie swego tużurka. Z tych samych powodów urzędnicy różnych stowarzyszeń prywatnych mają nie tylko ordery lub inne oznaki swych godności, ale czasem nawet bardzo świetne mundury; tak naprzykład, przełożeni lóż masońskich mają uniformy istnie gieneralskie ze złotemi haftami, piórami, szarfami, nawet szlifami, przed wspaniałością których mogą się schować uniformy dworów europejskich.

(*c. d. n.*).

# Fabrykacja marek pocztowych.

Każdy z nas prawie codzień ma do czynienia z marką pocztową, ale nie każdy dałby



Maszyna do pokrywania klejem marek.

odpowiedź na pytanie, jakie operacje wykonać potrzeba, ażeby na kawałku czystego papieru otrzymać wizerunek, zwany marką pocztową. Niejeden filatelista, to jest zbieracz używanych marek pocztowych, pewno nie zadawał sobie nawet takiego pytania, znaną jest bowiem rzeczą, że o zjawiskach powszednich, o rzeczach, z któremi się ciągle stykamy, zwykle nie mamy dokładnego pojęcia. A jednakże jest to bardzo ciekawa gałąź przemysłu, znakomicie wydoskonalona ze względu na ogromne zapotrzebowanie marek pocztowych; ażeby dać o niej pojęcie, opiszemy sposób fabrykacji, używany w zakładach państwowych francuskich w Paryżu, przy bulwarze Brune. Właściwa fabrykacja marek składa się z trzech operacji: drukowania, pokrywania zadrukowanego arkusza klejem, i nacinania tegoż arkusza; przedewszystkiem jednak przygotować trzeba stempel do drukowania, czyli tak zwaną kliszę z wzorem przyszłej marki pocztowej. W tym celu stale zatrudniony w fabryce artysta-malarz robi w dużej skali ze wszystkiemi szczegółami wizerunek marki, lecz bez napisu wartości marki.

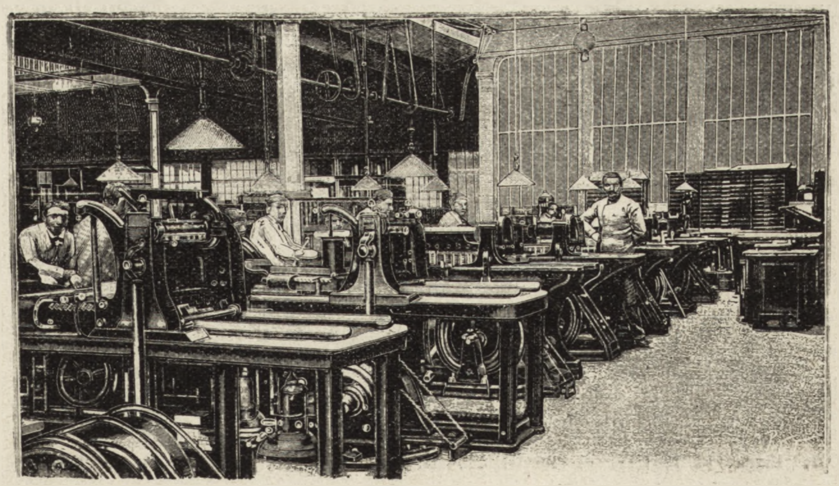


Sala z przyrządami drukarskiemi.

Ten wizerunek zmniejsza się przy pomocy kolorowej fotografji do wymiarów takich, jakie ma mieć marka pocztowa. Z tego zmniejszonego wzoru grawer robi na drzewie lub na stali ścisłą kopję, którą najstaranniej sprawdza artysta-malarz, autor pierwotnego wzoru. Po uzyskaniu jego aprobaty z kopji tej robi się zdjęcie przy pomocy wosku, jeżeli kopja była robiona na drzewie; lub przy pomocy ołowiu, jeżeli kopja była na stali, i z tego zdjęcia robi się kilka reprodukcji na metalu sposobem galwanoplastycznym. Na każdej z tych reprodukcji grawer ryje odpowiedni napis, oznaczający wartość marki. Po dokładnem sprawdzeniu tych napisów, robi się z tych reprodukcji powtórne zdjęcie przy pomocy ołowiu i następnie z tego zdjęcia nowe reprodukcje na miedzi sposobem galwanoplastycznym. Te reprodukcje zalewa się metalem drukarskim, z którego wyrabiają się czcionki, oczyszcza i retuszuje starannie i nareszcie otrzymuje się tak zwaną kliszę, która już służy bezpośrednio do drukowania.

Ponieważ arkusze papieru, używane do drukowania, są dwojakiego rodzaju, węższe, na których mieści się 300 marek po 6 w jednym rzędzie, i szersze z 600 markami po 12 w jednym rzędzie, więc jednakowych klisz przygotowywa się 6 lub 12.

Drukowanie odbywa się zwyczajnym sposobem, tylko wymaga nadzwyczajnej staranności, ponieważ każda marka musi być odbita ze wszystkiemi szczegółami. Prasy, używane przy tem, są dwojakiego rodzaju: płaskie i w kształcie walca. Pierwsze dają wyraźniejsze odbicie; drugie pozwalają na szybsze drukowanie i używają się specjalnie w tym wypadku, jeżeli marka ma być różnokolorową. Jeden z rysunków przedstawia właśnie salę z przyrządami drukarskiemi.



Maszyny do nacinania marek.

Dla kontroli wszystkie arkusze mają na marginesie datę dnia, numer maszyny, na które

arkusz był drukowany, i inicjał drukarza. Po wyjściu z druku arkusze są liczone i odsyłane do następnego oddziału pokrywania klejem.

Tutaj jedną stronę zadrukowanego arkusza pokrywa się warstwą kleju i następnie wystawia się arkusz na wyschnięcie. Pierwsza czynność nie przedstawia żadnych trudności, za to suszenie arkuszy jest połączone z pewnemi niedogodnościami. Dawniej pokrywano arkusze warstwą kleju i rozkładano je oddzielnie w przegródkach suszarni; była to operacja długa i kłopotliwa. Teraz odbywa się to prościej i krócej. Arkusze są podsuwane pod pędzel z klejem a następnie przesuwane po ruchomym pomoście, który się składa z obracających się walców. Droga, którą odbywają arkusze po pomoście, równa się 107,5 lub 119 metr. w zależności od typu maszyny; parowanie zaś wody z arkuszy przyśpiesza się przy pomocy wirujących wiatraczków, które napędzają ogrzane powietrze do maszyny. Taką maszynę przedstawia rysunek 1. Po wyjściu z maszyny arkusze są zupełnie suche; wtedy znowu sprawdza się ich ilość i wysyła do ostatniego oddziału, gdzie podlegają nacinaniu dla łatwiejszego oddzielania jednej marki od drugiej.

Nacinanie odbywa się przy pomocy odpowiednio urządzonej maszyny; operacja ta trwa bardzo krótko, i przyjemnie jest patrzeć, jak miljony małych confetti wyskakuje z pod zębów maszyny. Szereg takich maszyn widzimy na rysunku 3.

Teraz arkusze są zupełnie wykończone i po przeliczeniu opuszczają warsztaty fabryczne i przechodzą do magazynów oddziału kontroli, który je jeszcze raz liczy i odsyła do biur pocztowych.

Jak widać z powyższego, przy fabrykacji marek liczenie odgrywa dużą rolę, to też około 100 pracownic jest tylko tem zajętych. Jest to jedyna i zupełnie dostateczna kontrola przy przejściu arkuszy z jednego oddziału do drugiego.

Właściwa kontrola odbywa się w ten sposób, że codziennie urzędnik oddziału kontroli wręcza drukarni potrzebną ilość czystego papieru, i taż sama ilość musi mu być zwrócona z oddziału nacinania arkuszy w postaci gotowych arkuszy lub braku. Przy końcu każdego kwartału robi się zestawienie ilości arkuszy, które wydane zostały z głównego magazynu i ilości arkuszy zadrukowanych lub pozostających jeszcze w warsztatach. Te ilości powinny się zgadzać.

Oprócz marek pocztowych, zakłady francuskie przy bulwarze Brune wyrabiają także i inne przedmioty, mające styczność z markami, jako to: koperty pocztowe (z markami) sekretniki, karty pocztowe i t. p. Oczywiście i przy produkcji tych przedmiotów maszyna ma jaknajszersze zastosowanie.

Co do kopert, to najrzód zadrukowywa się markami w odpowiednich miejscach arkusze czystego papieru. Następnie maszyna wycina z tych arkuszy odpowiednie kawałki; druga maszyna składa każdy taki kawałek papieru i skleja jego brzegi. Nareszcie trzecia maszyna, podobna do maszyny, używanej przy fabrykacji marek, pokrywa jeden brzeg koperty klejem i suszy kopertę; po tej operacji koperty składają się w paczki.

Więcej złożoną jest fabrykacja gotowych listów, zwanych sekretnikami, ponieważ trzeba je wyciąć z arkuszy papieru, złożyć we dwoje, pokryć brzegi klejem i nareszcie naciąć w około dla ułatwienia otwierania listu.

Oprócz tych głównych oddziałów zakłady mieszczą w sobie jeszcze oddziały pomocnicze, jako to: oddział do przygotowania różnokolorowych atramentów do przygotowania kleju, oddział galwanoplastyczny, fotograficzny, warsztaty mechaniczne do reperacji maszyn, będących w ruchu i t. p.

H. W.

# UROCZYSTOŚCI WESELNE
## w Bucharze Wschodniej.

*Z notatek i opowiadań Leona Barszczewskiego z wypraw do Azji Środkowej.*

spisał

*Wit. Bar.*

*(Ciąg dalszy).*

Na ulicy ślepy starzec wręczył mi w imieniu całej rodziny w upominku chałat. Trudno było odmówić. Przyjąłem, a wzamian wsunąłem mu do ręki garść srebrnych monet. Gdy poczuł pieniądze w ręce, rzekł uradowany: „To już dla mnie! Bardzo potrzebuję. Nie oddam nikomu ani jednej „puli“ (grosza). Dostałem z dobrego serca. To dla mnie „tumar“ (talizman),

który odwróci odemnie nieszczęście! Będę się modlił dzień i noc za duszę nieszczęśliwego, który zginął przezemnie — i po namyśle dodał: nie, lepiej oddam pieniądze „bajguszom“ (kapłanom), niech modlą się i proszą Boga, aby duszę tego męczennika przyjął do raju Mahometa, a mnie nieszczęśliwemu powrócił wzrok.“ Starzec przycisnął otrzymane pieniądze do piersi i zwrócił oczy na mnie. Dreszcz mnie przeszedł, gdym spojrzał na te czyste, świecące oczy, które patrzą, a nic nie widzą. Radziłem mu, aby przyjechał do Samarkandy do naszych „tabibów“ (lekarzy). Uśmiechnął się jednak i rzekł: „Nie, Dżan-Tiura“, uwolnić mnie od kary Bożej nikt nie jest w możności prócz Niego samego! Dziękuję ci, dobry panie, lecz po co łudzić niewidomego i podawać mu nadzieję tego, czego bez woli Boga urzeczywistnić nie można.“

Ruszyliśmy dalej. Długi czas dźwięczały mi w uszach słowa starca. Zajęty myślami, ani spostrzegłem, jak i kiedy dojechaliśmy do chaty biedaka.

Powitał on mnie serdeczną przemową, trzymając na tacy chleb i sól. Wzamian objąłem gospodarza według obyczaju muzułmańskiego, chcąc tem okazać większą dla niego życzliwość. On zaś uścisnął mnie z taką siłą, iż zdawało się, że nie wypuści mnie więcej z uścisku. Uwolniwszy się nareszcie, poleciłem dżigitowi, by podał mi chałat, ofiarowany przez bogatą rodzinę. Rozwinąwszy, odziałem nim śmieszną figurkę biedaka, który, nie spodziewając się czegoś podobnego, zupełnie stracił głowę i zamiast do siebie, zapraszał mnie do wrót swojego „chamsoj“ (sąsiada).

Rozśmieliśmy się serdecznie, roześmiał się i sam gospodarz, spostrzegłszy pomyłkę, i wreszcie wprowadził mnie do swojego domostwa.

Jakże dobrze mi wtedy było pomiędzy tym półdzikim ludem!

Ale oto i maleńkie podwórko, podzielone na dwie połowy: męską i kobiecą. Każda połowa ma swoje oddzielne mieszkalne i gospodarskie zabudowania, utrzymane w jednym i tym samym charakterze. Izby bardzo maleńkie, bez okien, których biedniejsi krajowcy w domach swoich zwykle nie budują, pozostawiając drzwiom podwójną rolę.

Chaty pokryte są cieniutkiemi deseczkami, spoczywającemi na cienkich belkach lub też chróstem, zasłanym trawą lub słomą; wszystko to przykrywają następnie grubą warstwą ziemi, z wierzchu zaś smarują kilkakrotnie gliną zmieszaną z „samanem“ (plewami).

Sakli prawie nigdy się nie bieli; ściany wewnętrzne zawsze szare i po większej części zakopcone wskutek nieużywania pieców, zastąpionych czworograniastym dołem, wydrążonym w ziemi na środku izby lub w jednym z jej kątów. W dole rozpala się ogień, a dym swobodnie kłębi się po izbie, wędząc mieszkańców, póki przez drzwi nie wyjdzie na zewnątrz. Gdy opał dobrze się przepali, a pozostaną tylko żarzące węgle, stawiają na dole czworograniasty niski, lecz dość dużych rozmiarów taburet, który następnie przykrywają derkami. Piec gotów.

By jednak dobrze rozegrzać swe członki, krajowiec uchyla nieco kołdry, podsuwa gołe nogi do dołu i zakrywa się do połowy ciała. Zimową porą kładą się dokoła takiego pieca, podsuwają nogi, pod głowę kładą „czałmę“ lub „moli“ (mała owalna poduszka) i śpią ci biedacy smacznie, po większej części w chałacie, który u wielu zastępuje jednocześnie i koszulę. „Sandali“, t. j. taburety, umieszczone nad ogniskiem, przedstawiają jednocześnie i stół tak do codziennego użytku, jak również i w czasie przyjęcia. Najczęściej jednak jedzą na gołej ziemi sakli lub „ajwana“ (werandy).

Ludzie ci, dzięki tego rodzaju ograniczeniu, często ulegają zaczadzeniu lub też, co może i gorsze, cierpią na silny reumatyzm.

W sakli bywa zwykle kilka izb, a każda ma swoje przeznaczenie. Np. „mejman-chana“—pokój dla gości, również bardzo często i główna siedziba gospodarza; „osz-chana“—kuchnia, która bywa też przytułkiem dla służby i domowników. Przy sakli znajduje się zazwyczaj przybudówka dla konia, krowy, „iszaka“ (osła), kozy lub owcy, naturalnie o ile gospodarz jest na tyle bogaty, że posiada wszystkie te zwierzęta. Kobieca połowa sakli urządzona na wzór męskiej, drzwi jednak, prowadzące do niej, tylko dla wypuszczenia dymu bywają otwierane, zwykle zaś zamknięte, a bezwarunkowo wtedy, gdy w męskiej połowie przebywa obcy mężczyzna. W kobiecej połowie znajduje się również pierwotnej budowy piec do pieczenia placków praśnych „nan“. Piec taki budują w następujący sposób: w jednym z rogów izby ubijają równo ziemię, poczem stawiają pochyło dużych rozmiarów garnek bez dna, oblepiają go gliną ze wszech stron, pozostawiając u dołu mały otwór, który służy jako drzwiczki do pieca i jednocześnie wraz z górnym otworem podtrzymuje przewiew powietrza. Drzewo do rozpalenia tego pierwotnego pieca kładą tak dobrze przez górny, jak też i dolny otwór. Zaraz po spaleniu niewielkiej na-

wet ilości piec silnie się rozgrzewa. Kobieta przygotowane już ciasto ręką rozlepia na ściankach pieca i po kilku minutach placki są gotowe. Świeże placki są nader smaczne, lecz że pieką je z przaśnego ciasta—szybko przejadają się.

(*c. d. n.*).

# Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE.

## XVII.

*Niemcy projektują unję pocztową środkowo-europejską. — Upadek i odrodzenie ludów śródziemnomorskich. — Rozkwit Włoch. — Wiosna ludów na Bałkanie. — Hiszpanja i ruch turystyczny.*

Niemcy nawet poczty umieją używać na cele zaborcze. Rzeszy niemieckiej udało się już przed laty zawrzeć z Austro-Węgrami unję celną. Taryfa pocztowa i telegraficzna jest i w Niemczech i w Austro-Węgrzech jednolitą. To znaczy, czytelniku, że list zwyczajny, który przesyłasz z Strasburga do Lwowa lub z Krakowa do Lwowa kosztuje 10 fenigów (10 halerzy); karta pocztowa z Metzu w Alzacji do Semlina w Slavonji lub z Budapesztu do Semlina kosztuje 5 fenigów (5 halerzy). Słowem, już od szeregu lat Niemcy i Austro-Węgry pod względem pocztowo-telegraficznym tworzą wspólny okręg o tej samej taryfie. Do tej unji pocztowo-telegraficznej należy również Bośnja i Hercegowina. W granicach tej unji depesza, złożona z 10 słów, kosztuje 50 fenigów czyli 60 halerzy zarówno z Krakowa do Krzeszowic, jak z Miluzy w Alzacji do Mostaru w Hercegowinie.

Niezależnie od tej unji, istniejącej w ramach „Wszechświatowego Związku Pocztowego" (Weltpostverein), zawarto ostatniemi laty następujące unje ściślejsze: austro-węgiersko-serbsko-czarnogórską; skandynawską, która obejmuje Danję, Szwecję i Norwegję; holendersko-belgijską; hiszpańsko-portugalską, w której zachodzi takie curiosum, że listy, przesyłane z Hiszpanji do Portugalji, kosztują taniej, niż listy, przesyłane wewnątrz Hiszpanji; południowo-afrykańską; południowo-amerykańską; środkowo-amerykańską.

Obecnie Berlin pracuje nad przygotowaniem unji pocztowej, która objęłaby całą Europę Środkową, a więc Rzeszę Niemiecką, Austro-Węgry, Holandję, Belgję, Danję i Szwajcarję. Pozornie koła niemieckie dążą do przeprowadzenia tego projektu jedynie z racji dużych korzyści handlowych. Że handel i przemysł wyciągnęłyby zysk z takiego ujednostajnienia taryfy pocztowej i telegraficznej, trudno przeczyć. Lecz Berlin naprawdę rachuje na korzyści polityczne, jakie wyciągnąłby z takiego zespolenia owych krajów. Holandja i Belgja, Danja i Szwajcarja są to — już nie licząc Austro-Węgier — kraje, na których przyłączenie do Rzeszy Niemieckiej spekuluje coraz to wyraźniej i szybciej polityk pruski. A dzieje powstania Rzeszy uczą, że drogą najlepszą, najpewniej wiodącą do takiego zespolenia, są na początek wszelkie unje: pocztowa, celna, kolejowa, potem monetarna. Unja wojskowo-polityczna jest tych ostatnich ukoronowaniem.

Znany gieograf niemiecki, Reinhard E. Petermann, występuje przeciwko utartemu frazesowi, jakoby ludy południowe, skupione naokoło wód morza Śródziemnego, upadały. Było tak do połowy wieku XIX-go. Od chwili odkrycia Ameryki w r. 1492 podnosił się zachód i północ Europy; jej południe traciło na znaczeniu; siły znikały; bogactwo topniało; przedsiębierczość i energja wenecjan, gienueńczyków, żeglarzy greckich wyczerpywały się. Pod naciskiem wielkiej potęgi tureckiej od wschodu i bogatej w srebro amerykańskie Hiszpanji od zachodu w stuleciu XVI-em państwa włoskie wpadły w zależność polityczną od cudzoziemców i naród zubożał; jego wielka inteligiencja gnuśniała Z narodu marynarzy i wojowników, kupców i wielkich rękodzielników Włosi spadli na poziom narodu tenorów i tancerzy, malarzy drugorzędnych i rzeźbiarzy, w których duszy obok artysty mieszkał kamieniarz.

Pod koniec wieku XVII-go i w początkach XVIII-go takie samo zjawisko upadku moralnego, materjalnego i politycznego widnieje już i na dwu innych półwyspach, wrzynających się w morze Śródziemne: na Pirenejskim i na Bałkańskim. Marnieją również państwa mahometańskie na północnem wybrzeżu Afryki, państwa korsarzy, których statki dawały się we znaki nawet tak potężnemu mocarzowi, jak Karol V-ty. W chwili, gdy Anglja zagarnia panowanie na morzu, morze Śródziemne martwieje, a mieszkające nad niem ludy marnieją.

Od połowy wieku XIX-go następuje zmiana na lepsze. Różne są tego przyczyny. Przedewszystkiem naród, jak człowiek, ma epoki zmęczenia i raźnej działalności. Powtóre, otwarcie kanału Sueskiego przywróciło morzu Śródziem-

nemu jego międzynarodowe znaczenie. Z wielkiej zatoki zmieniło się ono znowu w drogę wszechświatową, ułatwiającą zapasy ekonomiczne wszystkich narodów.

Najszybciej i najkorzystniej odbiła się ta zmiana na Włoszech i na Włochach. Byli do tego już poprzednio przygotowani. Rządy austrjackie, tak niefortunne pod względem politycznym, wniosły do Włoch północnych setki miljonów gotówki. Austrja biła drogi, budowała mosty i koleje, zakładała fabryki, otaczała opieką i pomocą ogrodnictwo i wszelkie dziedziny zajęć rolniczych, słowem, robiła w ciągu wieku XIX-go tysiąc razy więcej dla królestw Lombardji i Wenecji, niż dla zubożałej skutkiem niesumienności urzędników wiedeńskich Galicji.

I te nakłady austrjackie nie poszły we Włoszech północnych na marne. Posiadają one potężny przemysł, jak na te skromne pokłady węgla, któremi Włochy rozporządzają. Nie Rzym, ale Medjolan przoduje kulturalnym wysiłkom narodu. Skarb państwa, do niedawna pusty, obecnie od lat kilku wykazuje miljonowe nadwyżki. Politycy i ministrowie włoscy postawili sobie za jeden z głównych celów polepszenie warunków bytu codziennego klas niższych. Chcą, by chłopi wyrobnik, robotnik fabryczny, czy rzemieślniczy lepiej jadł i zdrowiej mieszkał. Zdają sobie bowiem wybornie sprawę z tego, że lepsze odżywianie i mieszkanie higjeniczne są warunkami odrodzenia całego narodu, odrodzenia pod względem fizycznym i moralnym. Człowiek dobrze odżywiany, rosły, o wyrobionych muskułach jest i bardziej przedsiębiorczym i wytrzymalszym i szlachetniejszym wobec słabszych, niż pokurczę o zwyrodniałym organizmie, upadające na duchu po najmniejszem niepowodzeniu.

Ważnem też źródłem ekonomicznego i cywilizacyjnego odrodzenia Włoch są pieniądze, wydawane przez podróżujących cudzoziemców. Ci ostatni pozostawiają we Włoszech setki miljonów lirów. Dzięki im koleje włoskie mogą wiązać koniec z końcem; dzięki im istnieją rozmaite gałęzie przemysłu, które inaczej musiałyby zmarnieć albo też nigdy nie mogłyby się rozwinąć. Dzięki obfitości strumieni górskich Włochy są na najlepszej drodze zmienienia systemu dróg żelaznych parowych w koleje elektryczne. Już dzisiaj Włochy są pierwszym krajem, posiadającym sporą kolej elektryczną z Medjolanu do Monzy (70 kilometrów). Teraz rząd włoski projektuje wybudowanie kolei elektrycznej z Rzymu do Neapolu. Pociągi, zabierające 50—80 osób, przebywałyby tę sporą przestrzeń w trzy godziny.

Odrodzenie półwyspu Bałkańskiego nie ulega wątpliwości. Wojna w 1877 r. była tutaj owym wiatrem ciepłym, pod którego tchnieniem stopniały lody tureckie, krępujące rozrost Bułgarów, najbardziej kulturalnego z narodów bałkańskich. Grecja jako państwo nie robi wielkich postępów. Grecy natomiast jako naród szybko kroczą naprzód. Dzięki im, jak ongi w starożytności, rozwijają się miasta portowe Azji Mniejszej, zyskują instytucje cywilizacyjne i cywilizowane urządzenia.

Nawet Hiszpanja, ta biedna i spotwarzona Hiszpanja, nie stoi w miejscu. Wojna w 1897 r. była na razie wielkiem nieszczęściem, ale równocześnie i bodźcem do pomyślenia o naprawie. I rzecz dziwna, Hiszpanie instynktownie chwytają się takiego samego środka ratunku, jak onego czasu Włosi. Pracują nad skierowaniem do Hiszpanji rzeki turystów, a z nią i potoku złota. Pokazywać mają sporo. Miljardy wpakowali dawniejsi Hiszpanie w budowle i dzieła sztuki. Dzisiaj trzeba jedynie dróg żelaznych, dobrych hoteli, porządnych restauracji, owych wygód, do których nawet skąpy Niemiec w podróży — nie mówiąc o Anglikach i Francuzach — jest przyzwyczajonym, by zachęcić cudzoziemców do zwiedzania Hiszpanji. Szwajcarja, Włochy nie przedstawiają już nic nowego. Hiszpanja natomiast może się stać kopalnią nowych wrażeń na całe lat pięćdziesiąt. A że za wszystko na świecie trzeba płacić, przeto Hiszpan chce owe wrażenia spieniężyć na gotówkę, by z pomocą tej ostatniej zakładać fabryki, podnieść z upadku rolnictwo i kopalnie, wybudować flotę handlową.

Dumny hidalgo, który z mieczem w ręku przed trzystu laty panował nad całą Ameryką, był panem wysp na oceanie Spokojnym, posiadał Neapol i Sycylję, będzie obecnie stał skromnie w bramie hotelowej, by z czapką w ręku zbierać napiwki od Anglików i Niemców. Te napiwki przecież już jego wnukom zdołają zapewnić lepszą przyszłość.

Wiedeń. *Adam Nowicki*




**Walka z malarją w Kampanji Rzymskiej.**

W artykułach p. t. „Malarja“ zapoznaliśmy niedawno czytelników naszych z istotą tej choroby i sposobem przenoszenia się zarazka malarji, tej wielkiej plagi okolic błotnistych, która naprzykład we Włoszech zabiera rocznie do grobu około 15,000 istnień. Kiedy niedawno wykryto, że zaraza przenosi się przez ukłucia owadów z rodzaju Anopheles (widlisz), pokrewnych komarom, to stało się jasnem, że najlepszym środkiem zapobiegawczym przeciw chorobie jest wystrzeganie się ukąszenia tych owadów. Teorja została świetnie stwierdzoną przez praktykę w miejscowościach malarycznych Kampanji Rzymskiej, w ciągu dwu ostatnich letnich sezonów. Zawiązało się tam do walki z malarją stowarzyszenie pod nazwą Włoskiego Czerwonego Krzyża. O działalności tego stowarzyszenia członek tegoż, dr. Sgambati, zamieszcza w „Tour du monde“ kilka zajmujących szczegółów. Stowarzyszenie to urządziło 6 stacji sanitarnych na polach Kampanji. Personel każdej stacji składa się z lekarza, dozorcy i przewodnika, który jest zarazem stangretem, gdyż każda stacja posiada karetę ambulansową, która dwa razy dziennie objeżdża sąsiednie zaludnione miejscowości dla udzielenia pomocy chorym. Lekarze, dozorcy i przewodnicy zabezpieczają siatką metalową drzwi i okna swoich sypialni, by się uchronić od wtargnięcia komarów. Podczas wycieczek starannie zasłaniają twarz jedwabnym woalem i nakładają rękawiczki na ręce, zwłaszcza po zachodzie i przed wschodem słońca. I otóż do tego czasu podczas dwu sezonów letnich *ani jedna* osoba, należąca do pomocy sanitarnej nie zachorowała na febrę, pomimo to, że nawet nie używano zapobiegawczych małych dawek chininy i że przebywano w najniebezpieczniejszych miejscowościach niziny Rzymskiej. Towarzystwo Czerwonego Krzyża oddaje wielkie usługi robotnikom rolnym Kampanji i pozyskuje sobie wśród nich coraz większe zaufanie. W roku 1900-ym miało ono w swej opiece 4,513 chorych, w tej liczbie 3,733 malarycznych. Lekarze drukowanem i żywem słowem pouczają ludność, że się powinna strzec ukąszeń owadów i zmuszają nietylko chorych, lecz i zdrowych nawet do zażywania chininy, jako środka zapobiegawczego. Widząc skuteczność opieki lekarskiej, wieśniacy sami już coraz częściej przychodzą na stacje po poradę. Miejscowości fabryczne, szeroko rozciągające się dookoła Rzymu, posiadają bardzo mało ludności stałej, na obszarze bowiem 220,000 hektarów zamieszkuje stale zaledwie 9,000. Ale w czasie robót rolnych, t. j. w czerwcu w czasie żniwa i w jesieni podczas uprawiania roli i posiewu ludność rolnicza wzrasta do 32,000 głów. Są to wieśniacy, sprowadzeni na te zabójcze pola przez specjalnych przedsiębiorców. Ludność ta prowadzi żywot koczowniczy, mieszka w szałasach ze słomy lub gałęzi, albo w ruchomych słomianych chatach, przewożonych z miejsca na miejsce na wózkach dwukołowych. Często nawet robotnicy sypiają pod gołem niebem. Ma się rozumieć, że w ten sposób narażeni są ciągle na niebezpieczeństwo zetknięcia się z fatalnym owadem, a z drugiej strony niedostateczne odżywianie się mniejsza odporność organizmu. Na tę ostatnią okoliczność zwróciło też uwagę Towarzystwo Czerwonego Krzyża i obok chininy, o ile można, rozdziela pomiędzy najbiedniejszych mięso, buljon i inne zapasy żywnościowe.

*S. Łgn.*

**Z podróży na wybrzeża morza Japońskiego, Korei i Sachalina.**

Sprawozdanie z wymienionej podróży składał P. J. Schmidt na posiedzeniu grudniowem 1901 roku w Towarzystwie gieograficznem w Petersburgu. Głównym celem wyprawy było zbadanie stosunków rybołóstwa, a zarazem rozmieszczenia fauny morskiej na rozmaitych głębokościach w kierunku poziomym i pionowym. Prace rozpoczęto w r. 1900 w zatoce Piotra Wielkiego. Odkryto tutaj niewielką ilość nowych gatunków ryb, ale udowodniono znaczne podobieństwo świata zwierzęcego do fauny mórz południowych, co przemawia przeciwko przypuszczeniu Schrenck'a o istnieniu w tem miejscu zimnego prądu z morza Ochockiego. W grudniu 1900 roku wyprawa przybyła do miasta Söul (Korea). Podróżnicy zdumieni byli tutaj nędzą miasta i lichotą jego budynków, która wcale nie odpowiadała wspaniałości kolei elektrycznej, zbudowanej przez Amekanów. Następnie wyprawa zwróciła się ku Japonji i badała tam faunę wybrzeży. Zebrano około 400 gatunków ryb, t. j. połowę ogólnej liczby. W ciągu lata zwiedzono wyspę Sachalin dla zapoznania się ze stanem połowu ryb i wielorybów. Do Petersburga wyprawa powróciła koleją mandżurską i syberyjską.

*S. Łgn.*

**Wyprawa Lemaire'a.**

Naczelnik wyprawy belgijskiej, kapitan Lemaire, zwiedzał w r. z. płaszczczyzny Katangu na południo-wschodzie jeziora Tanganika i cały grzbiet górski Afryki Południowej, który w części południowej Niepodległego Państwa Kongo jest linją demarkacyjną pomiędzy wodami Kongo a Zambezi. Z wyprawy tej, bogatej w odkrycia i prace naukowe na polu meteorologji, gieologji, fauny, flory etc. kapitan Lemaire wyniósł, że okolice, zraszane górnym biegiem rzeki Zambezi i Kongo, przedstawiają poważne perspektywy przyszłości dla kolonizacji europejskiej. Nim te nadzieje kapitana Lemaire'a się urzeczywistnią, zwrócić uwagę należy na okoliczności, że dzięki plantacjom i ogrodom, poświęconym uprawie jarzyn i owoców europejskich, a zakładanym tu przez misjonarzy, flora całego dorzecza Zambezi — przybiera charakter europejski. Roślinność europejska tak dobrze się przyjęła na gruncie afrykańskim, że zaczyna ona zmieniać kuchnię plemion miejscowych.

*M. N.*

**Pies hijenowaty.**

Profesor E. Austalet podaje w tygodniku „La Nature“ bardzo ciekawy opis zwierzęcia, które naturaliści określają obecnie imieniem hijeny malowanej (Lycaon pictus) lub psa hijenowatego. Zwierzę to ofiarował menażerji Jardin des Plantes w Paryżu p. Labretoigne du Mazel

administrator kolonji St. Louis w Senegalu; złowione ono zostało w Sudanie Senegalskim, okolicy, gdzie gatunek ten jest zresztą bardzo rzadki i spotyka się w stanie dzikim. Wogóle można powiedzieć, że po raz pierwszy zauważono obecność jego na zachodzie afrykańskim. Dotąd mniemano, że lykaony przebywają jedynie na wschodzie i południu Afryki, gdzie są dość pospolite. Począwszy od końca XIV w. o zwierzętach tych, które koloniści holenderscy i angielscy nazywali dzikiemi psami (Wild Dogs – Wiide Hounde) spotykamy wzmiankę u podróżników Masson'a i Sparmann'a, ale dopiero w roku 1820 i 1822 Temminck i Burchell podali szczegółowsze opisy, uważając—jednakże lykaony za hijeny. Atoli między tem zwierzęciem a hijeną jest zaledwie małe podobieństwo w ukształtowaniu głowy, uszu i ubarwieniu sierści, dość ostrej i skąpej. Sierść lykaona koloru żółtego z lekkim odcieniem popielatawym, ma plamy czarne i białe, rozrzucone nieregularnie. Ogon ma również plamy żółte i czarpne, a kończy się szeroką białą kitką. Pomiędzy uszami porosłemi zewnątrz krótkim włosem płowym i czarnym, wewnątrz zaś dłuższym, czarnym i białym, widać ciemną smugę, która ciągnie się z jednej strony pomiędzy oczami, z drugiej na karku i na grzbiecie. Nogi tylne i przednie są równej wysokości, podczas gdy u zwykłej hijeny nogi tylne są znacznie krótsze od przednich, wskutek



czego grzbiet ku tyłowi pochylony. Pies hijenowaty ma wzrost zwykłego owczarka, wygląda daleko zgrabniej od hijeny. Ze swej inteligientnej fizjognomji i postaci przypomina psa, — zwłaszcza uzębienie ma jednakie z psami, od których odróżnia go czaszka grubsza i krótsza, oraz kończyny, którym brak palucha, — nawet na kończynach przednich. Te szczegóły w budowie najzupełniej usprawiedliwiają utworzenie nowego rodzaju — Lykaon, który, jak dotąd, obejmuje tylko jeden gatunek afrykański. Lykaony lubią przebywać na równinach otwartych lub porosłych krzakami i kępami drzew. Żyją gromadami po kilkanaście sztuk, — czasami jednak dochodzą liczby 60; polują tak dobrze w dzień, jak i w nocy i jak najzręczniejsi łowcy umieją rozpoznawać tropy zwierzyny. — Wzdłuż drogi, na której spodziewają się spotkać łup, kilka silniejszych lykaonów zajmuje kolejno stanowiska, ustępując miejsca zmęczonym towarzyszom, i dzięki temu systemowi łosie, antylopy, kudu (rodzaj antylop) padają ofiarą psiarni. Często podróżny jest pozbawiony łupu z polowania przez owe psy, których żarłoczność jest straszna. „Po dniu niesłychanych trudów — opowiada podróżnik Edward Fod — udało mi się zbliżyć do kudu i zraniłem ją. Jednak uciekła mi, kryjąc się w krzaki. Idąc krwawym śladem, myślałem, że ją odnajdę — kiedy nagle z oddali doszły mię krzyki straszliwe, jakby beczącego jelenia. Zdziwiłem się, gdyż śmierć antylopy bywa zawsze cicha. Doszedszy do miejsca, skąd krzyk dochodził, ujrzałem całą psiarnię wyjącą, z antylopy zaś tylko tylko głowę i nogi." — Nietylko antylopy małe i duże stają się łupem lykaonów, ale również zwierzęta domowe, jak woły, owce i kozy. Lykaony są takim postrachem dla farmerów w Afryce Południowej, jak wilki w niektórych miejscowościach Europy. Lykaony nietylko szczekają jak psy; nocą wydają ostre okrzyki, podobne do krzyku małp, które się kłócą lub nawołują. W Afryce Południowej, jak również w Sudanie, lykaony kopią sobie nory w równinach piaszczystych, służące jako schronienie dla ich potomstwa, zazwyczaj bardzo licznego. Schwytane za młodu i oswajane, lykaony tracą swoją dzikość naturalną, przyzwyczajają się żyć z innemi zwierzętami, szczególniej zaś z psami, do których w stanie dzikim uczuwają prawdziwy wstręt. — Utrzymują, że w czasach odległych Egipcjanie używali lykaony do pomocy w polowaniu na antylopy, już jako oswojone zwierzęta domowe.

*M. N.*

**El-Arish.** El-Arish, miejscowość uwieczniona przez Słowackiego w jego poemacie „Ojciec zadżumionych", przedstawia mało znany pas ziemi, leżący na drodze z Egiptu do Syrji pomiędzy dolną częścią Wadi El-Arish (wadi—wyschły potok), a granicą Turcji Azjatyckiej. Stanowi on terytorjum egipsko-angielskie. Chociaż przez ten pas ziemi przechodzi obecnie droga karawanowa w pobliżu morza Śródziemnego od El-Kantara nad kanałem Sueskim do m. Gazy w poł.-zach. kącie Palestyny, a nawet wzdłuż tej drogi przeprowadzony jest telegraf, to jednak ta północno-wschodnia część terytorjum egipskiego o powierzchni 1500 klm. □ prawie zupełnie nie jest znaną w Europie. Pewną ilość szczegółów o tej ziemi zebrał z różnych źródeł D. Trietsch w czasopiśmie „Palestyna". Ma to być wcale nie taka zupełna pustynia, jak się może wydawać. Miasto El-Arish liczy 4,000 mieszk. i leży w okolicy, obfitującej w palmy daktylowe, których owoce sprzedaje w Port-Said i w Gazie. Wielkiego braku wody się nie odczuwa. Komunikacja karawanowa jest ustalona, a nawet na północo-wschód od El-Arish wybrzeże morskie posiada dość odpowiednią przystań. D. Trietsch w swym artykule kładzie nacisk na to, że ziemia ta należała niegdyś według wskazówek Biblji do Palestyny, stanowiąc kąt jej południowo-zachodni, obecnie zaś należy nie do Turcji, ale do Egiptu, a więc komitet kolonizacyjny żydowski może tutaj skierować część przesiedleńców, którzy nie życzyliby sobie zamieszkać na ziemi, nie należącej do Palestyny, a z drugiej strony wskutek zakazu rządu tureckiego nie mogą się osiedlić w Palestynie tureckiej.

*St. Ł.*

# Doświadczenia chemiczne.

(*Ciąg dalszy*).

Po wykonaniu poprzedniego doświadczenia, powrócić możemy do właściwych zjawisk rozpuszczania.

Codzienne doświadczenie, wykonywane np. przy osładzaniu cukrem herbaty, uczy nas, że proces rozpuszczania odbywa się o wiele łatwiej, t. j. zostaje znakomicie przyśpieszony, jeżeli dopomagamy sobie mieszaniem. Jeśli na jakiekolwiek ciało stałe, rozpuszczające się w wodzie, np. cukier lub sól kuchenną nalejemy czystej wody, to warstwy wody, bezpośrednio stykające się z tem ciałem, wkrótce się niem nasycą; mieszając łyżeczką albo pałeczką szklaną wprowadzamy w zetknięcie z owem ciałem wciąż świeże warstwy wody, nie nasycone jeszcze, a więc mogące nowe ilości cukru resp. soli w sobie rozpuścić, i tem się tłomaczy przyśpieszenie rozpuszczenia, jakie ma miejsce przy mieszaniu płynu. Jeśli te same ciała, t. j. sól lub cukier oblejemy znowu wodą, lecz tym razem wstrzymamy się zupełnie od mieszania, i naczynie, w którem wykonywamy doświadczenie, postawimy w miejscu, wolnem od wszelkich, choćby przypadkowych wstrząśnień, to rozpuszczenie nastąpi i tutaj całkowicie (o ile tylko wzięliśmy dostateczną ilość wody) — jednakże dopiero po upływie bardzo znacznego przeciągu czasu. W pomoc rozpuszczeniu przychodzi tutaj *zjawisko dyfuzji*.

Zjawisko to polega na tem, że cząsteczki ciała rozpuszczonego przenikają samorzutnie z warstw o większem stężeniu do warstw mniej stężonego rostworu ewent. czystej wody i ruch ten objawia się dopóty, dopóki nie otrzymamy rostworu zupełnie jednorodnego. Nie od rzeczy może będzie zwrócenie uwagi na to, że dyfuzja następuje zupełnie niezależnie od przyciągania ziemi; wszak cząsteczki z dolnych, bardziej stężonych, warstw wbrew tej sile przyciągania, wędrują do górnych warstw czystej wody.

Zjawisko dyfuzji najwyraźniej okaże nam doświadczenie następujące.

*Doświadczenie 5-te.*

Przygotujmy sobie rostwory wodne dwu soli zabarwionych, jednej koloru czerwonego — dwuchromianu potasu, drugiej, barwy niebieskiej — siarczanu miedzi. Rostwory te wlejmy, każdy oddzielnie, do 2 wąskich cylindrów szklanych; po nad rostwory soli nalejmy warstwę czystej wody. Uczynić to należy z zachowaniem tej niezbędnej ostrożności, ażeby obie warstwy nie zmieszały się ze sobą, lecz wyraźnie jedna od drugiej były oddzielone.

Najlepiej da się to uskutecznić w sposób następujący.

Wykrajmy z korka możliwie cienki krążek i umocujmy go na pałeczce szklanej, wtykając tę ostatnią w zrobione w krążku wydrążenie. Opuśćmy krążek w cylinder aż do zetknięcia się z powierzchnią rostworu i następnie po pałeczce nalejmy powoli i ostrożnie czystej wody ze szklanki, której dziobek w tym celu przyciskamy do pałeczki. W ten sposób uda się nam otrzymać 2 wyraźne warstwy płynu: dolną — zabarwioną odpowiednią solą na kolor czerwony resp. niebieski i górną — bezbarwną warstwę czystej wody.

W miarę postępowania dyfuzji rostwór, stanowiący warstwę dolną, będzie coraz to bardziej bladnął, ulegając coraz większemu rozcieńczeniu, warstwa zaś wody — od dołu ku górze — będzie się zabarwiała; co nam dowodnie wskazuje, że cząsteczki rozpuszczonej soli stale — choć wolno — posuwają się ku górze. Ruch ten trwać będzie dopóty, dopóki nie otrzymamy w końcu rostworu, zupełnie równomiernego. Ze względu na powolność dyfuzji, cylindry należy na dłuższy czas pozostawić w jakiemś spokojnem miejscu i codziennie obserwować posunięcie się zabarwienia ku górze.

*Uwaga.*

Dla usunięcia wszelkiej wątpliwości co do tego, że powodem zmieszania się obu warstw jest dyfuzja, a nie żadne wpływy uboczne, od których w zwykłych warunkach trudno się ustrzec, jak np. przypadkowe wstrząśnienia lub zmiany temperatury, mogące wywoływać prądy w cieczy, Gay-Lussac, znakomity chemik francuski, wykonał doświadczenia nad dyfuzją w głębokich piwnicach astronomicznego obserwatorjum paryskiego, gdzie prócz tych nie jedno jeszcze zostało wykonane ciekawe badanie naukowe, jako w miejscu, posiadającem stałą zimą i latem temperaturę i wolnem od wszelkich wstrząśnień.

(*c. d. n.*).

*Wacław Mutermilch.*

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

*W-mu A. B. w Mińsku.* Wspólną wycieczkę do Rzymu urządza w Wiedniu Universal-Reisebureau Rotherthurmstrasse 9. Koszt wycieczki, trwającej dni 11 łącznie z całkowitem utrzymaniem, wynosi koron 350. Cena przejazdu z Warszawy do Wiednia w klasie drugiej rb. 16.40. Wyjazd z Wiednia 16 maja o godz. 9 wieczór.

*WPp. Prenumeratorów*, zapytujących nas, czy zaczęło już wychodzić dzieło p. t. „Pietnaście miesięcy na Oceanie Antarktycznym“, zawiadamiamy, że z powodu przeszkód technicznych początek dzieła ukaże się dopiero w przyszłym tygodniu, za to, zamiast jednego zeszytu, otrzymają prenumeratorzy dwa odrazu.



***Warunki przedpłaty.*** *w Warszawie: rocznie rb.* ***4***, *półrocznie rb.* ***2***, *kwartalnie rb.* ***1***. *Za odnoszenie do domu dopłaca się* ***15*** *kop. kwartalnie. Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb.* ***5***, *półrocznie rb.* ***2.50***, *kwartalnie rb.* ***1.25***. *Za granicą rocznie rb.* ***6***

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Ś-tej Barbary № 8. Redaktor: **Wacław Jezierski.**

Дозволено цензурою. Варшава, 23 Апрѣля 1902 г. **Druk Fr. KARPIŃSKIEGO, Elektoralna № 14. Telefonu № 1256.**